

**o. Lech Z. Włodarczyk ofm**

**A może być Boliwia?**

W poniżej przedstawionych wspomnieniach chciałem utrwalić to, co przeżyłem i czego doświadczyłem w mojej pracy misyjnej na ziemi boliwijskiej. Jednak nie było moim celem chwalenie się, tym czego dokonałem, bo muszę powiedzieć za św. Franciszkiem: „*Bracia, niczego dobrego jeszcze żeśmy nie zrobili. Zacznijmy od nowa.*” Tymi wspomnieniami chcę podziękować Bogu, za to, że choć trochę, pewnie nieudolnie, ale mogę być jego narzędziem w głoszeniu Ewangelii. Mam pełną świadomość, że jeśli coś dobrego wyszło z mojej pracy, nie jest moją zasługą, ale Jego działaniem. I o tym „Jego działaniu” chcę dać świadectwo.

Proszę też o modlitwę w mojej intencji i w intencji tych, którzy pracują na misjach w różnych zakątkach świata oraz proszę o modlitwę za tych, do których Bóg nas posyła.

Chcę jeszcze wyrazić moją wdzięczność tym wszystkim, którzy pamiętali o mnie przed Bogiem i chcę podziękować tym, którzy w jakikolwiek sposób wsparli mnie swoimi ofiarami. Właśnie Wasze modlitwy i ofiary przyczyniły się do dobra, które mogłem uczynić dla moich parafian.

---

**UWAGA!**  
**W tekście,**  
**mówiąc o pracujących w Boliwii, w wielu wypadkach**  
**(oczywiście dla własnej wygody)**  
**używałem na przemian polską i hiszpańską pisownię ich imion.**

## Przed wyjazdem

Było to dawno, dawno temu.... w połowie ostatniej dekady XX wieku. Podczas wizytacji kanonicznej w klasztorze w Jarocinie, ówczesny Prowincjał o. Hipolit Lipiński ofm przyjął moje podanie o wyjazd na misje. Prosiłem o pozwolenie na pracę w Afryce. Chociaż odpowiedź otrzymałem pozytywną, jednak wyjazd został odłożony na czas nieokreślony ze względu na braki personalne w Prowincji. Prawdę mówiąc, oznaczało to, że może kiedyś wyjadę, ale to „może” nie jest wcale takie pewne. Więcej już nie prosiłem.

Minęły trzy lata. Od roku byłem już w klasztorze w Poznaniu. Kapituła Prowincjalna<sup>1</sup> wybrała nowy zarząd Prowincji. Muszę się przyznać, że nawet do głowy mi nie przyszło, by ponowić moją prośbę o misje. Jednak któregoś dnia, a był to początek lipca 1997 roku, w drzwiach mojego pokoju zobaczyłem kopertę z nadrukiem Kurii Prowincjalnej - list od nowego Prowincjała o. Adama Sikory ofm, w którym mnie powiadomił, że zapoznał się z treścią mojego podania sprzed trzech lat, podtrzymał zgodę poprzedniego Prowincjała oraz informował, iż jestem drugi w kolejce na wyjazd. Wreszcie coś konkretnego; policzyłem, że jest to kwestia dwóch, może trzech lat.

Stare przysłowie mówi: „kuj żelazo póki gorące.” Udałem się na rozmowę z Prowincjałem. Skoro większość krajów afrykańskich mówi po angielsku (tak mi się zdawało), muszę się więc nauczyć tego języka. Dostałem zgodę na poszukanie jakiegoś kursu. Zabrałem się za przeszukiwanie ogłoszeń w gazetach, wreszcie znalazłem to, czego szukałem: dwuletni kurs języka angielskiego. Jednak ogarnęły mnie wielkie wątpliwości. Dotychczas wielu dobrych nauczycieli usiłowało mnie nauczyć kilku języków obcy, ale żadnemu się to nie udało; nic dziwnego, przy moim wrodzonym lenistwie i braku talentów lingwistycznych, nie mogli odnieść sukcesów. I to właśnie były moje wątpliwości, bo jak bez znajomości języka będę mógł pracować na misjach.

Był już początek września - najwyższy czas, by zapisać się na kurs. Zwyczajem zakonnym, po południowym nawiedzeniu Najśw. Sakramentu wracaliśmy z kościoła do klasztoru. Podszedłem do Prowincjała i zapytałem:

---

<sup>1</sup> Kapituła Prowincjalna - wybrani przedstawiciele wszystkich członków Prowincji zbierają się raz na trzy lata, by omówić najważniejsze sprawy, wyznaczyć nowe kierunki działania. Raz na sześć lat Kapituła wybiera nowego władze Prowincji.

- O której będzie miał Ojciec chwilę czasu? Znalazłem kurs angielskiego i chciałbym...

- Najpierw musimy poważnie porozmawiać - usłyszałem odpowiedź.

Co się stało, że „musimy poważnie porozmawiać”? Szybko zacząłem robić rachunek sumienia, ale nic mi nie przychodziło do głowy. W tym momencie Prowincjał zapytał:

- Koniecznie chcesz jechać do Papuii Nowej Gwineii?

Zgłupiałem. Skąd mu przyszła na myśl Papua? Przecież pisałem o Afrykę... Odpowiedziałem więc:

- Może być Papua... byle nie Rosja i Zachodnia Europa.

- A może być Boliwia? - zapytał.

Właśnie staliśmy przed moimi drzwiami. Moja odpowiedź była natychmiastowa:

- Może być Boliwia. Może Ojciec wejdzie, to...

- Teraz nie mam czasu - odpowiedział Prowincjał - później porozmawiamy.

Prawdę mówiąc, kamień spadł mi z serca, że nie muszę uczyć się angielskiego, ale nad moją głową (jak katowski topór) zawisł język hiszpański.

Tym razem owo „później” nie trwało zbyt długo. Dowiedziałem się, że na początku roku 1999 lub 2000 Prowincjał pojedzie odwiedzić współbraci pracujących w Boliwii, więc mogę jechać razem z nim. To oznaczało, że miałem przynajmniej jeden rok na naukę hiszpańskiego. Gwardian, na dobry początek, zafundował mi program komputerowy do nauki hiszpańskiego i zabrałem się do... moich normalnych zajęć. A program? Od czasu zainstalowania go w komputerze jakoś mi nie przeszkadzał! Znacie chyba piosenkę Czerwonych Gitar „Już za rok matura”? Przecież jeszcze się nie skończył rok 1997, a gdzie tu 1999 albo 2000 - to całe wieki!

W styczniu 1998 roku plany Prowincjała uległy zmianie i swoją wizytę w Boliwii przyspieszył. Gdy wrócił, powiedział mi, że spotkał się z tamtejszym Prowincjałem i już zapowiedział mój przyjazd. Na koniec usłyszałem:

- Oktawian<sup>2</sup> przyjeżdża w lipcu na urlop, gdy będzie wracał, możesz lecieć z nim.

- A kiedy będzie wracał? - zapytałem.

- Koniec września albo początek października.

Mój czas do wyjazdu uległ nagłemu skróceniu.

---

<sup>2</sup> O. Oktawiano Melcer ofm - pochodzi z Prowincji św. Franciszka w Poznaniu i był misjonarzem w Boliwii od 1987 roku.

Zaczynał się Wielki Post. Teraz o kursie języka nie było mowy, czekały rekolekcje, spowiedzi. Postanowiłem, że po Wielkanocy zabiorę się do nauki. Wielkanoc minęła i postanowienie też... Oczywiście, na wszystko znalazło się usprawiedliwienie: ktoś mi powiedział, że są jakieś intensywne kursy podczas letnich wakacji; no to mam jeszcze sporo czasu.

Było to w maju... a dokładnie pierwszego. Rano, z okien korytarza klasztornego oglądaliśmy latające jajka w kierunku „czerwonego” wiecu na pl. Bernardyńskim. Gdy wracałem do mego pokoju, spotkał minie Prowincjał i wręczył mi „List posłuszeństwa” - oficjalne pozwolenie na wyjazd do pracy na misjach w Boliwii. Przy okazji usłyszałem „radosną” wiadomość:

- Oktawian, zostaje w Polsce na rocznym urlopie. Ale przyleciał Euzebiusz<sup>3</sup>, możesz lecieć z nim, albo później, tylko wtedy polecisz sam.

- Nie znam języka. Sam nie polecę. Wolę z Euzebiuszem - odrzekłem.

- No to zadzwoń do niego i dowiedz się, kiedy wraca.

Zadzwoniłem; data wylotu 23 lipca. Gdy Prowincjał to usłyszał, powiedział:

- Chyba coś pokręciłeś. On mi mówił, że na początku lipca ma poświęcenie jakiegoś mostu, czy drogi... Zadzwoń jeszcze raz.

Dzisiaj już wiem, że po hiszpańsku „junio” to czerwiec, a „julio” to lipiec. Sam się często mylę, gdy muszę tłumaczyć na polski „junio, julio”. On też się pomylił! Wylot z Okęcia 23 czerwca! Kiedy 2 maja zadzwoniłem do domu, że wyjazd mój nie jest pod koniec lipca, tylko pod koniec czerwca, usłyszałem odpowiedź:

- Więcej już nie dzwoń, bo się okaże, że lecisz jutro.

Tyle rzeczy miałem zaplanowanych: dokończyć kilka spraw, trochę posiedzieć u naszych współbraci we Włoszech, choć trochę nauczyć się hiszpańskiego... a tu szybki urlop, czas dzielony pomiędzy pożegnania, zakupy i pakowanie, no i jeszcze dokończenie kilku przyjętych prac w klasztorze, bo w tak krótkim czasie trudno znaleźć kogoś na zastępstwo. Jednym słowem, „życie na wariackich papierach”.

W niedzielę, 14 czerwca odprawiłem Mszę św. pożegnalną w mojej rodzinnej parafii<sup>4</sup> a tydzień później, 21 czerwca w naszym kościele w Poznaniu. O godzinie 9.00 rozpoczęła się uroczysta Msza św., której, pod

---

<sup>3</sup> O. Euzebiusz Konkolewski ofm - pochodzi z Prowincji św. Franciszka w Poznaniu, przez wiele lat pracował w Proyecto O.S.C.A.R. (franciszkański projekt budowy dróg i mostów oparty na pracy wolontariuszy, wychowaniu i kształceniu młodzieży męskiej), a obecnie jest w Tarata.

<sup>4</sup> Parafia p.w. Św. Rodziny w Ostrowie Wielkopolskim.

nieobecność Prowincjała, przewodniczył Wikariusz Prowincji o. Aleksander Kwaśny. Po kazaniu wręczył mi krzyż misyjny... i tak to się zaczęło.

## Z ziemi polskiej do boliwijskiej

Środa, 23 czerwca. Okęcie - jestem tu pierwszy raz, ale jakoś nie robi na mnie wrażenia. Bardziej mi to przypomina stoiska w hali targowej (i to kiepskiej) niż lotnisko międzynarodowe. Czekam. Wreszcie zjawia się o. Ezebiusz. Wita nas miła pani przy wydawaniu wejściówek do samolotu i nadawaniu bagażu.

- Dokąd pan leci? - pyta czytając mój bilet i zaczyna się śmiać - Kochabamba<sup>5</sup>? Gdzie to jest?

O. Euzebiusz, który stoi przy mnie, wyjaśnia:

- W Boliwii. I nie mówi się Kochabamba tylko Kociabamba.

To wyjaśnienie wzbudza jeszcze większy śmiech. Mój plecak waży 25 kg. Mamy lot niemiecką linią „Lufthansa”, która pozwala tylko na 20 kg bagażu. Pani śmiejąc się nie zwraca na to uwagi na wagę. Plecak poszedł. O. Euzebiusz ma bilet do La Paz<sup>6</sup>. Jego walizka waży 28 kg. Pani dalej się śmieje na myśl o „Kociejbambie” i odprawia jego walizkę. No to zaczęło się dobrze! Jednak nie całkiem. Wejściówki mamy tylko do Frankfurtu. O. Euzebiusz prosił byśmy mogli siedzieć obok siebie. Okazuje się że nas rozdzielono. Tłumaczy mi, że pewnie samolot będzie pełen. Niestety, okazało się, że prawie 1/3 miejsc była wolna.

Jeszcze pożegnanie z najbliższymi i wchodzimy na odprawę paszportową. Tu nie mamy problemów. Wsiadamy do samolotu i tu następna niemiła niespodzianka. Lot jest na trasie Warszawa - Frankfurt. Stewardesy mówią tylko po niemiecku i angielsku, a po polsku nie<sup>7</sup>. Samolot rusza. Najpierw podskakuje jak pociąg na rozjazdach, wolno toczy się na pas startowy. Nagle nabiera szybkości trzęsąc niemiłosiernie. W końcu trzęsienie ustaje - jesteśmy w powietrzu. Teraz ostro nabiera wysokości. Przez okno widok na Warszawę, która z góry wydaje się makietą. Wchodzimy w chmury i zaczynają się turbulencje. Gwałtowne podskoki trwają prawie przez cały lot.

---

<sup>5</sup> Cochabamba - miasto w centralnej części Boliwii. W tekście, zamiast poprawnej pisowni, użyłem polskiej formy wymowy.

<sup>6</sup> La Paz - miasto mylnie nazywane stolicą Boliwii. Stolicą jest Sucre, La Paz jest tylko siedzibą rządu.

<sup>7</sup> Gdy kilka lat później, na tej samej trasie leciałem samolotem Lotu, każda ze stewardesy mówiły nie tylko po polsku i angielsku, ale również po niemiecku.

Mój żołądek zamienia się w betoniarkę - cały czas coś się miesza i przewraca, jest mi jakoś dziwnie. Nie mam ochoty ani na jedzenie, ani na napoje, które serwują w samolocie. Na szczęście już zapowiadają lądowanie w Frankfurtu. Obyło się bez użycia papierowej torebki z oparcia w fotelu. Ale co będzie dalej? Ten lot trwał około 2 godzin, następny ma trwać 14. Całą drogę będę się czuł tak samo?

Lądujemy w Frankfurtu. Gorąca, mocna kawa na „stałym lądzie” dobrze mi zrobiła i „żołądkowa betoniarka” się wyłączyła. Teraz czeka nas lot do São Paulo w Brazylii. Tu, na lotnisku uświadomiłem sobie to, co stało się po zawaleniu wieży Babel: jedna wielka mieszanina. Wszelkie odmiany koloru skóry, stroje: poczynając od garniturów, poprzez habitę, koloratki, ubrania arabskie, hinduskie, a na „fartuchach” i kapeluszach rabinów skończywszy. Ludzie siedzą, leżą, chodzą. Jedni śpią, inni bezmyślnie patrzą przed siebie. Ktoś rozmawia, dzieci biegają, bawią się. Jedni zamykają się w świecie ograniczonym słuchawkami w uszach, inni czytają, jeszcze inni pracują na laptopach. Wszyscy czekają na swój lot. My też czekamy. O. Euzebiusz opowiada o Boliwii, o swojej pracy. Wszystko ciekawe, nowe. Co mnie tam czeka?

Wreszcie zapowiadają nasz lot. Wsiadamy do olbrzymiej „krowy” - Airbus 340A. Znowu jesteśmy rozdzieleni. Start podobny jak w Warszawie, ale po oderwaniu się od ziemi, jeszcze podczas gwałtownego wznoszenia trochę trzęsło, a potem wszystko już złagodniało. Najpierw małe zdziwienie. Lecimy także Lufthanzą, ale teraz stewardesy mówią po angielsku, portugalsku, hiszpańsku i oczywiście po niemiecku. Tylko ten ostatni język jest dla mnie dostępny. W żołądku znowu zaczyna mi burczeć. Jednak nie jestem już taki „opa”. Proszę stewardesę o lampkę koniaku. Przynosi, piję powoli, najpierw w żołądku czuję niemiłe ciepło, ale potem bulgotanie mija i do końca podróży nie mam już żadnych problemów.

A teraz bardzo cenna rada: gdy polecicie kiedyś samolotem, nigdy nie żartujcie sobie ze niemieckich stewardes! Drogo za to zapłacicie. Po kolacji o. Euzebiusz przyszedł do mnie. Wstałem z fotela i poszliśmy na korytarz obok ubikacji. Po chwili podeszła do nas stewardesa proponując coś do picia. Wówczas, dla żartu zapytałem:

- A gdzie tu można zapalić? Nad siedzeniami widzę, że jest zakaz.
- Nigdzie. W całym samolocie jest zakaz - pośpiesznie odpowiedziała.
- A w ubikacji? - zapytałem.
- O. Euzebiusz zaczął się śmiać.
- Tam też nie wolno. - odpowiedziała.
- Ale tak szybko! Nikt nie zauważył. Dwie godziny już jestem bez palenia.

- Wszędzie jest alarm. Nie wolno. - odrzekła - Ale jak pan się źle czuje, to przyniosę gumę do żucia. Chce pan?

- Nie, dziękuję.

- Jednak przyniosę, bo pan chciał palić. Guma pomoże.

- Nie potrzeba. Żartowałem tylko, bo wiem, że w całym samolocie jest zakaz. Widziałem, że odetchnęła z ulgą. Ale dodała:

- Gdyby pan chciał gumę, to proszę mnie zawołać.

Poszła. Z o. Euzebiuszem pośmialiśmy się jeszcze trochę i każdy z nas wrócił na swoje miejsce. Po chwili przygasły światła, a na ekranach monitorów pojawił się film „Żelazna maska”. W Polsce film już był grany ale nie miałem czasu pójść do kina, więc teraz miałem okazję go obejrzeć. Była późna noc, a dzień zaczął się dość wcześnie wyjazdem do Warszawy; byłem zmęczony. Nie pamiętam ile minut filmu wytrzymałem, bo usnąłem. W pewnym momencie poczułem, że ktoś mnie szarpie za ramię. Myślałem, że to o. Euzebiusz. Otworzyłem oczy, patrzę: stewardesa.

- Czy podać panu gumę do żucia?

- Nie, dziękuję - odpowiedziałem.

- Ale pan chciał palić...

- Żartowałem.

- Ale dobrze się pan czuje? - zapytała.

- Tak, dobrze. Nie potrzebuję gumy do żucia.

Odeszła, a ja natychmiast zasnąłem.

I to właśnie była kara za żartowanie sobie z niemieckiej stewardesy. Obudziła mnie jeszcze trzy razy. Za ostatnim razem już nie wytrzymałem, więc powiedziałem dość ostrym tonem:

- Powtarzam pani, że żartowałem. Czuję się dobrze. Dobrze mi się śpi. Po co pani mnie budzi? Proszę mnie więcej tego nie robić.

Poskutkowało. Obudziły mnie dopiero rozmowy innych pasażerów, gdy zaczęto rozdawać śniadanie.

Dolecieliśmy do Saõ Paulo. Pięć godzin czekania na samolot do Boliwii. I tu mały wypadek. Torba z bagażem podręcznym mogła mieć najwyżej 5 kg. Niestety, miała trzy razy tyle. Ucha nie wytrzymały. Pasek do powieszenia na ramieniu też już był naderwany. Co robić? Szybko trzeba było kupić małą walizkę. Cena na lotnisku astronomiczna: 99 \$. Drożyzna, ale nie było innego wyjścia - kupiłem<sup>8</sup>.

---

<sup>8</sup> Po kilku dniach, już w Boliwii doznałem pocieszenia. Taka sama walizka w sklepie kosztowała 120 \$.

Z Saõ Paulo do Santa Cruz siedzieliśmy z o. Euzebiuszem obok siebie, więc lot już się tak nie dłużył. Powiedział mi, że samolot leci do La Paz, ma śródlądowania w Santa Cruz i w Chochabamba. W Santa Cruz on ma przesiadkę na inny samolot do La Paz. Ja mam wysiąść na następnym lotnisku. Będzie na mnie czekał o. Simeón<sup>9</sup>. W Santa Cruz pożegnaliśmy się. Po pół godzinie samolot wystartował. Następne lądowanie to Cochabamba - cel mojej podróży. No i rozpoczęło się najgorsze 37 minut mojego życia. Ogarnęły mnie czarne myśli. A jeśli ów Simeón nie przyjedzie na lotnisko, bo coś mu wypadło? A jeśli na lotnisku nie rozpoznamy się? Nie znam języka. Jak dogadam się na lotnisku? Jak dotrę do klasztoru? Przecież nie znam adresu. W końcu samolot wylądował. Podjechały schody. Gdy wszedłem na nie, zobaczyłem, że płyta lotniska obstawiona jest wojskiem. Od o. Ezebusza już się dowiedziałem, że sytuacja polityczna w kraju jest bardzo niestabilna, że rządy stale się zmieniają, że ciągle są jakieś zamieszki, ale żeby zaraz, na „dzień dobry”...<sup>10</sup>

Podszedłem do „okienka” odprawy paszportowej. Z tłumu ludzi oczekujących na przyłot swoich bliskich wyszedł wysoki blondyn. Podeszedł do stojącego policjanta, chwilę z nim rozmawiał, a potem natychmiast podeszedł do mnie i zapytał po polsku:

- Ty jesteś Lech?

- Ja - odpowiedziałem.

- Jestem Simeón. Cześć. Dobry miałeś lot?

Nie zdążyłem jeszcze dobrze odpowiedzieć, gdy już byliśmy przy odprawie paszportowej, a potem odebraliśmy mój plecak i pojechaliśmy do klasztoru.

---

<sup>9</sup> O. Symeon Stachera ofm - pochodzi z Prowincji św. Jadwigi we Wrocławiu, obecnie pracuje w Maroko.

<sup>10</sup> Później dowiedziałem się, że tutaj takie „przyjmowanie” podróżnych jest normalne.